

LUIS GARCÍA
JAMBRINA

KAMIENNY
MANUSKRYPT

PRZEKŁAD
KATARZYNA JACHIMSKA-MAŁKIEWICZ



WYDAWNICTWO WAM
KRAKÓW 2012

Tytuł oryginału
EL MANUSCRITO DE PIEDRA

© 2008, Luis García Jambrina

© Wydawnictwo WAM, 2011

Redakcja
Zofia Palowska

Korekta
Danuta Barańska

Projekt okładki
Andrzej Sochacki

Logo serii
Sebastian Stachowski

ISBN 978-83-7505-831-4

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 43 03 210
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIEGARNIA INTERNETOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Drukarnia Wydawnictwa WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

Wstęp

(Salamanka, 20 września 1497 roku)

Nie zaczęło jeszcze dobrze świtać, kiedy fray Tomás de Santo Domingo wstał z posłania w swojej klasztornej celi u świętego Stefana. Noc spędził fatalnie: co rusz budził się zlany potem, przerażony nękającymi go koszmarami, które nie pozwoliły mu prawie zmrużyć oka. Jednak to nie zmęczenie po nieprzespanej nocy gnębiło go teraz, lecz dominujący lęk spowodowany dziwnym poczuciem niepokoju i całkowitego zagubienia. Fray Tomás był profesorem głównej katedry teologii – najbardziej prestiżowej katedry salmantyńskiego Studium Generale*. Przejął ją od samego biskupa Salamanki, Diega de Dezy, podobnie jak on sam teologa i dominikanina, przeobrażając w krótkim czasie w jeden z głównych bastionów Kościoła w mieście. Ten niewysoki zakonnik o wydatnym brzuszku, okrągłej jak bochen chleba i pomarszczonej twarzy oraz drobnych, niewieścich dłoniach traktował uniwersytecki pulpit jak kazalnicę, z której z elokwencją bronił prawd wiary i wzywał do wymierzania sprawiedliwości wszelkiego rodzaju heretykom, czarownicom czy wreszcie nawróconym Żydom podejrzanym o wyznawanie dawnej wiary (*rejudaistom*, jak zwykł ich określać). Kie-

* Profesorowie głównych katedr, nazywanych dosłownie *Cátedras de Prima*, czyli katedrami porannymi, prowadzili zajęcia wcześniej rano, co było uważane za oznakę prestiżu, a katedry teologii były w ogóle uznawane w średniowieczu za najważniejsze na uniwersytetach – *nota bene* nie wszystkie uczelnie posiadały uprawnienia do wykładania teologii. (Wszystkie przypisy w niniejszej książce pochodzą od tłumaczki).

dy tylko stawał na podium sali wykładowej, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przeobrażał się w płomiennego obrońcę wiary katolickiej, w zaciekłego wojownika zbrojnego w potężny arsenał słów, ciskanych niczym śmiercionośne włócznie z fortecnych murów. Niektórzy uważali go za wybitnego i porywającego mówcę, podczas gdy inni wyrzucali mu zbyt ni rygoryzm i bezkompromisowość; w każdym razie nikt na Uniwersytecie nie był w stanie pozostać obojętny wobec jego wykładów. Nawet kiedy na tonących w błocie ulicach Salamanki zacinął deszcz ze śniegiem lub kiedy hulał po nich lodowaty marcowy wiatr z północy, do Aula Magna wydziału teologii, gdzie odbywały się wykłady fray Tomása, niezmiennie ściągał tłum zawsze chętnych do wysłuchania go studentów. Podczas wykładów część publiczności wychwalała go, urządzając prawdziwe owacje, podczas gdy inni go krytykowali lub wręcz ubliżali mu pod nosem. Liczni też byli ci, którzy słuchając, wpadali w ekstazę lub wręcz odwrotnie – byli prawdziwie zgorszeni. Nieraz też dyskusje rozpętanego jego słowami kończyły się najzwyczajszymi pyskówkami czy nawet bijatykami. Tymczasem, gdyby ktoś nieznający bliżej fray Tomása ujrzał go przypadkiem z dala od sali wykładowej, z pewnością nie byłby w stanie wyobrazić sobie, że ten niski i beczułkowaty jegomość, brzydki i odrażający jak ropucha, może wzbudzić w słuchaczach tyle entuzjazmu lub być powodem karczemnych awantur. W każdym razie sława, jaką zyskał dzięki swym wykładom, sięgała tak daleko, że trybunał inkwizycji w Valladolid mianował go doradcą Świętego Oficjum.

Przez dłuższą chwilę fray Tomás przechadzał się z posępną miną po krużgankach klasztoru, oddany bez reszty zawiłym rozważaniom. W głębi serca coś nie dawało mu spokoju, coś, do czego nie miał odwagi przyznać się nawet sam przed sobą. Nie był w stanie ustać spokojnie w jednym miejscu.

Jego duszą zawładnęła bolesna trwoga i wydawało mu się, że wszystko wokół źle mu wróży. Raptem poczuł potrzebę oddania moczu, co sprawiło, że skierował się w stronę niewielkiej furtki w narożniku dziedzińca, prowadzącej do ogródka. Nie chciało mu się iść do ustępu, mieszczącego się po przeciwnej stronie klasztoru, tuż przy ogrodzeniu oddzielającym zabudowania od Potoku Świętego Dominika, do którego spływały wszystkie miejskie ścieki – postanowił więc załatwić potrzebę na jednej z grządek uprawianych przez fray Antonia de Zamorę, pełniącego w klasztorze Świętego Stefana funkcję zielarza. W swoim ogródku brat zielarz z wielkim entuzjazmem i oddaniem hodował rośliny, których nasiona Krzysztof Kolumb przysłał klasztorowi w darze po powrocie ze swoich dwóch pierwszych wypraw do Indii. Był to z jego strony skromny gest podziękowania za wsparcie, jakiego swego czasu udzielili mu dominikanie, umożliwiając realizację jakże ryzykownych zamierzeń. Chodziły słuchy, że to właśnie Diego de Deza, były przeor klasztoru Świętego Stefana, spotkawszy się kilkakrotnie ze śmiałym żeglarzem w klasztornej sali zwanej *De Profundis* oraz w należącym do dominikanów wiejskim majątku w Valcuevo, nie dalej niż dwie mile od Salamanki, przekonał parę królewską do sfinansowania tej podróży.

Fray Tomás gardził bratem zielarzem. Nie mieściło mu się w głowie, że ktoś noszący dominikański habit może wkładać tyle sił w uprawę i studiowanie roślin, zamiast poświęcić się studiom teologicznym i głoszeniu słowa Bożego. Obecnie największą ambicją fray Antonia było skiełkowanie nasion przywiezionych z Nowego Świata i wyhodowanie owoców nieznanych tu roślin, podczas gdy przedmiotem działań fray Tomása było – ni mniej, ni więcej – sławienie imienia Pańskiego poprzez plewienie chwastów herezji i bezustanną walkę z Szatanem. No a poza tym, czegóż dobrego moż-

na się spodziewać po czymkolwiek, co pochodzi z ziemi zamieszkaney przez niewiernych? Fray Antonio był święcie przekonany, że należy działać w dokładnie przeciwnym kierunku, rozpoczynając jak najszybciej przeszczepianie słowa Bożego do Nowego Świata. Wychodził z założenia, iż wiara, której się nie krzewi i która nie kwitnie bez ustanku, to wiara martwa.

Oddając moc, nie był w stanie powstrzymać westchnienia ulgi, co sprawiło, że poczuł się zgorzony. Oto on, człowiek, który tak bardzo gardzi koszmarami cielesnego zniewolenia, odczuwa tak przeogromne ukojenie, opróżniając pęcherz. „Gdyby to samo można było zrobić z duszą”, westchnął w myślach. Otworzyć zawór i bez żadnych dodatkowych zabiegów wypróżnić gdzieś swoje sumienie, oczyścić je z poczucia winy i z wyrzutów natury moralnej, bez potrzeby uciekania się do sakramentu spowiedzi. Jednak już sama ta myśl była niebezpieczną herezją, tak że natychmiast wymazał ją z pamięci. Nie dało się ukryć, że były takie grzechy, które niełatwo jest opisać słowem, ciężary, których nie bardzo wiadomo jak się pozbyć, choćby nie wiem jak bardzo się chciało.

Kiedy tylko znalazł się z powrotem na klasztornym dziedzińcu, poczuł, że już najwyższa pora, żeby podzielić się z kimś swymi lękami i... grzechami. Niewątpliwie przeor nie był najodpowiedniejszą ku temu osobą – fray Tomás potrzebował kogoś bardziej godnego zaufania, lepiej przygotowanego i obdarzonego większym autorytetem. Przypomniawszy sobie, że podczas pobytu w Salamance biskup niemal codziennie chodzi skoro świt pomodlić się w jednej z kaplic katedry. Jeżeli więc się pospieszy, spotka się z nim przed wejściem do kościoła. Tak, biskup jako jedyny był w stanie go zrozumieć i wybaczyć, choć z drugiej strony był też jedyną osobą, która mogła zrobić użytek z wstydliwego sekretu fray

Tomása. Równocześnie jednak Diego de Deza był przecież jego przyjacielem i mistrzem, a na dodatek winien mu był niejedną przysługę. Ale jeżeli okaże się, że pomimo to... Cokolwiek miałyby się stać, nie mógł dłużej zwlekać. Mimo iż był ciągle jeszcze bez śniadania, wybiegł pędem na dwór i nie wzywając żadnego ze sług, żeby mu towarzyszył, ruszył przed siebie, jakby niosła go iscie czaricia siła, choć w rzeczywistości jego zamiarem było przecież umknięcie przed zakusami Złego.

Kiedy tylko znalazł się na ulicy, poczuł w kościach poranny wilgotny chłód. Otulił się płaszczem i szybkim, zdecydowanym krokiem ruszył w stronę katedry. Świątynia nie znajdowała się daleko. Po przejściu przez mały mostek nad Potokiem Świętego Dominika i po przecięciu ulicy Świętego Pawła, fray Tomás zaczął ociężale wspinać się podejściem Biczowników. Mniej więcej w połowie wznoszącej się do góry drogi przechodziło się tu przez otwarte podwoje jednej z bram należących do starych miejskich murów; była to brama pod wezwaniem świętego Sebastiana. Dominikanin prześlizgnął się przez nią cichaczem, jakby obawiał się natknąć na kogoś, po czym zagłębił szybko w labirynt ciemnych uliczek.

O tej porze, kiedy noc ustępowała miejsca światłu dnia, Salamanka miała w sobie coś mrocznego i widmowego, była niczym uśpiony wielki potwór, który w każdej chwili może się obudzić i to w złym humorze. Jeżeli nadstawiło się ucha, można było usłyszeć oddech bestii, a nawet poczuć fetor jej ohydneho tchnienia. Nagle fray Tomásowi wydało się, że ktoś go śledzi, czając się wśród ulicznych cieni. Zaczął się rozglądać: popatrywał to w jedną, to w drugą stronę, nie zwalniając przy tym kroku. Spieszyło mu się. Bez względu na wszystko powinien się jak najszybciej wypowiedać, żeby uwolnić się wreszcie od straszliwego ciężaru, będącego te-

raz realnym zagrożeniem dla jego zdrowych zmysłów. Nagle gdzieś w pobliżu zaczęła pohukiwać sowa, wzbudzając w nim uczucie panicznego lęku. Na wysokości Kolegium Świętego Bartłomieja jeszcze bardziej przyspieszył, gdyż zdało mu się, że dojrzał jakiś podejrzany cień, przemykający niczym jaszczurka po ścianie budynku. Musiał jeszcze tylko prześlizgnąć się obok ostatniej grupy domów po lewej stronie. Umyślnie stąpał głośno, żeby nie czuć się tak samotnie, jednak echo jego własnych kroków, dochodzące do niego gdzieś z tyłu, sprawiało, że bał się jeszcze bardziej. Wreszcie zza zakrętu wyłonił się plac Azogue Viejo, a w głębi przyjazna sylweta katedry.

Fray Tomás postanowił wejść do świątyni przez bramę Azogue, znajdującą się od strony placu, ale okazało się, że jest zamknięta. Nie miał innego wyjścia: musiał okrążyć wieżę dzwonnicy, kierując się w stronę głównej bramy. Po drodze najpierw o mały włos nie wpadł do rowu wypełnionego wodą, a potem potknął się o wystającą kamienną płytę. Kiedy wreszcie dotarł do Portyku Pokuty, zatrzymał się na moment, żeby nieco odpocząć. Ledwo dyszał. Wtem zdało mu się, że poza własnym sapaniem słyszy odgłosy zbliżających się kroków. Było za późno, żeby próbować uciec. Z gęstego mroku otaczającego wejście do kościoła wyłonił się nagle jeszcze ciemniejszy cień, który rzucił się na niego, powalając na ziemię. Ze swojej nowej pozycji całkiem wyraźnie zobaczył, jak napastnik wyjmuje spod oponczy nóż i bez słowa zaczyna dźgać go raz i drugi w brzuch, w pierś i w bok między żebrami. Sparaliżowany strachem, nie był w stanie nawet zawołać o pomoc. Gdy wykrwawiał się, leżąc na ulicy, miał jeszcze czas, żeby z konsternacją pomyśleć o tym wszystkim, co mu się właśnie przydarzyło. Nie martwił go tak bardzo fakt, że został zasztyletowany u samych wrót katedry, ile to, że umiera bez spowiedzi, obciążony po-

nurym sekretem i poczuciem winy, od których nie będzie się w stanie uwolnić na wieki wieków.

– Spowiednika! – wyszeptał, wydając ostatnie tchnienie.

Niedługo później znalazł go zakrystian. W pierwszej chwili pomyślał, że to żebrak, który postanowił wstać o świcie, żeby zająć najlepsze miejsce do zbierania jałmużny, po czym, znużony, przysnął. Jednak niemal natychmiast zdał sobie sprawę, jak bardzo się myli. Ciało leżało w wielkiej kałuży krwi. Lewa ręka poszkodowanego, zgięta w łokciu, spoczywała na brzuchu, jakby próbował dłonią zatamować krwotok; druga zaś leżała na ziemi, wyciągnięta w stronę bramy, z palcem wskazującym ku wnętrzu świątyni. Zorientowawszy się, że ma przed sobą fray Tomása, zakrystian skierował wzrok ku niebu i przeżegnał się. Potem przykucnął obok leżącego, żeby sprawdzić, czy jeszcze oddycha. Dominikanin miał oczy i usta szeroko otwarte, zastygłe na zawsze w grymasie przerażenia. Na jego obnażonym języku, niczym hostia, błyszczała moneta. Kościelny pochylił jeszcze niżej głowę i stwierdził, że to tylko mały miedziak o niewielkiej wartości, postanowił więc go nie dotykać.

Rozdział 1

Jak co roku, po krótkich wakacjach spędzonych w rodzinnych stronach, Fernando de Rojas wracał do Salamanki, żeby kontynuować naukę na Uniwersytecie. Zanim muł, na którym podróżował, wkroczył na stary łukowy most, jeszcze z czasów rzymskich, Fernando zatrzymał się na chwilę, zachwycając malowniczą panoramą miasta rozciągającego się po drugiej stronie rzeki. Niemal naprzeciwko, odrobinę w prawo, droga zaczynała piąć się w górę, prowadząc najpierw obok tak zwanego Krzyża Skazańców, a potem przez bramę Rzeczną aż do katedry pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny, zwanej potocznie Santa María de la Sede. W jej sylwetce zwracała szczególną uwagę kopuła zwieńczona prawdziwym kurkiem – symbolem Kościoła wiecznie czuwającego – która dzięki swym blankom i przyciętej wieży przypominającej fortecę świetnie harmonizowała z resztą budynku. Jednak, mimo swych walorów architektonicznych, kościół wydawał się stanowczo za mały jak na katedrę miasta liczącego dwadzieścia tysięcy mieszkańców – z których siedem stanowili studenci – i posiadającego uczelnię o tak doniosłej sławie jak Uniwersytet w Salamance – jeden z najznamienitszych, obok paryskiego i bolońskiego, uniwersytetów w całym chrześcijaństwie. Należy wspomnieć, że od jakiegoś czasu istniał projekt budowy nowej katedry, znacznie większej, smuklejszej i wytworniejszej niż obecna, jednak biskup oraz rada miejska, która od dziesięcioleci czyniła próby wyzwolenia się spod jurysdykcji biskupiej, mając w tym

względnie poparcie części salamantyńskiej magnaterii, nie byli w stanie dojść do porozumienia na temat najodpowiedniejszej lokalizacji dla nowej świątyni, przez co roboty nie posuwały się do przodu.

Nie była to zresztą jedyna dysputa dzieląca mieszkańców miasta. Jeszcze dobrze nie ostygł tak zwany konflikt stronnictw, który na dobrych kilka lat skłócił z sobą największe rody lokalnych możnowładców, narażając na niebezpieczeństwo ciągłość istnienia salamantyńskiej uczelni, kiedy zaczęły się pojawiać nowe spięcia, zrodzone na zupełnie innym podłożu. Moźnowładcy, za wszelką cenę próbujący utrzymać swoje dawne przywileje, wchodzili w ciągłe konflikty z zyskującymi na znaczeniu mieszczanami, którzy tylko myśleli, jak pozbawić tych pierwszych ich dotychczasowych praw, uzyskując przy tym nowe uprawnienia dla siebie. Oczywiście nikt spośród uprzywilejowanych nie miał zamiaru z niczego rezygnować, w rezultacie całe rzesze ludzi nie chciały porzucić odchodzących mrocznych czasów, wzbraniając się z całych sił przed wkroczeniem w nową, świetlaną erę, jaką niosła z sobą debiutująca monarchia Isabeli i Fernanda, którym papież Aleksander VI dopiero co przyznał tytuł Królów Katolickich. W samej Salamance dojście do władzy królewskiej pary zakończyło co prawda długoletnie spory pomiędzy stronnictwem świętego Benedykta, wywodzącym się z najstarszej części miasta, gdzie mieściła się katedra i Uniwersytet, a stronnictwem świętego Tomasza (dawniej świętego Marcina) zawiązanym w nowych dzielnicach powstających na jego północnych obrzeżach, jednak polityka prowadzona przez nowych władców przyczyniała się do powstawania nowych niesnasek. W sumie pod koniec XV wieku Salamanka była areną wielu złożonych konfliktów, choć trzeba też przyznać, że lata te stanowiły dla miasta początek okresu największego splendoru.

Wsparty o blanki balustrady mostu – tego samego, przez który dawniej prowadził rzymski Srebrny Szlak, a obecnie chroniona edyktem królewskim *cañada real** – Rojas mógł dojrzeć na obu brzegach Tormesu grupy praczek, którym na pozór obce były strapienia gnębiące resztę mieszkańców miasta. Na pierwszy rzut oka Fernandowi wydało się, że to te same kobiety, które obserwował jedenaście lat wcześniej, kiedy to, będąc jeszcze niemal dzieckiem, po raz pierwszy przyjechał do Salamanki. Miał wrażenie, że czas, zmęczony ciągłym uciekaniem, zatrzymał się w obrazie tej grupy kobiet, przeobrażając je w wiecznie trwające istoty, podczas gdy wokół nich świat nie przestawał kręcić się i zmieniać.

Również w życiu Fernanda zaszły w ostatnich latach wielkie zmiany. Urodził się 30 lipca 1473 roku w La Puebla de Montalbán, miejscowości leżącej około siedmiu mil od Toledo, gdzie przez jakiś czas mieszkali jego rodzice. Należał do czwartego pokolenia nawróconych Żydów i od dziecka miał świadomość, że jest inny. Powodem tego był nie tylko fakt, że należał do rodziny czy też grupy społecznej, którą od niepamiętnych czasów uważano za wysoce podejrzaną, ale również jego rozbudzone zamiłowanie do nauki oraz niepoahamowana ciekawość. Czytać i pisać nauczył się od pewnego księdza kanonika, któremu od czasu do czasu pomagał przy różnych drobnych pracach w kościele. Tenże ksiądz zapoznał go z podstawami gramatyki łacińskiej. Dzięki pomocy wpływowych krewnych oraz listowi rekomendacyjnemu dobrego znajomego księdza kanonika udało mu się dostać stypendium w jednej ze szkół podlegających Uniwersytetowi w Salamance, gdzie rozpoczął naukę w wieku zaledwie trzynastu lat.

* *Cañada real* (hiszp.) – dosł. królewska ścieżka; sieć dróg, którymi dzięki królewskiemu dekretovi hiszpańscy hodowcy mieli prawo przepędzać swoje stada owiec na sezonowe pastwiska w innych częściach kraju.

W Kolegium Mniejszym zaliczył przedmioty obowiązkowe wydziału sztuk wyzwolonych: poszerzył znajomość gramatyki, zgłębiając równocześnie tajniki retoryki i dialektyki, liznął też co nieco z filozofii naturalnej i moralnej według doktryny Arystotelesa i jego późniejszych komentatorów. Uczestniczył również w niejednym wykładzie na temat rzymskich pisarzy, które prowadzili od czasu do czasu profesorzy włoskiego pochodzenia. W tym względzie ze szczególną uciechą wspominał lekturę komedii Terencjusza, dzięki którym zainteresował się teatrem; nie na próżno dialog był formą wypowiedzi, która najbardziej mu się podobała i którą szczególnie cenił. Tak bardzo łaknął wiedzy, że czasem chadzał też w tajemnicy na wykłady prowadzone na wyższych wydziałach. W owym okresie został stałym słuchaczem Sycylijczyka Łucjusza Marynejskiego, udało mu się też wysłuchać ostatnich wykładów Antonia de Nebrijy, zanim jeszcze słynny uczony odszedł z Uniwersytetu*.

Jednak wszelkie plany naukowe Fernanda o mało co nie zakończyły się kompletnym fiaskiem, kiedy to w październiku 1488 roku, tuż po rozpoczęciu drugiego roku studiów, otrzymał list od matki, mający na zawsze odmienić koleje jego losu. W pisanym drżącą ręką liście matka oznajmiała, zbytnio się nie rozwodząc, że ojciec chłopca, Hernando de Rojas, został uwięziony przez inkwizycję pod zarzutem judaizowania. Kiedy Fernando skończył czytać ostatnie słowa matki, poczuł, jakby ziemia nagle zaczęła osuwać mu się pod nogami, próbując go pochłonąć. Doskonale wiedział, że ojciec jest niewinny, ale zdawał sobie też sprawę, że wystarczył najdrobniejszy donos, żeby puścić w ruch potężne tryby

* Antonio de Nebrija (1441–1522) – słynny hiszpański humanista, autor pierwszej gramatyki oraz pierwszego słownika języka hiszpańskiego; w Salamance wykładał retorykę i gramatykę, pomógł też sprowadzić do miasta pierwszą drukarnię.

inkwizycji, i że kiedy machina ta raz zacznie działać, niezwykle trudno ją zatrzymać, chyba że ma się wsparcie kogoś znacznego w Kościele i listy uwierzytelniające najwyższej próby. Oczywiście nie po raz pierwszy zdarzało się, że fałszywi świadkowie – z zawiści, chciwości czy też nienawiści – donosili do Świętego Oficjum na kogoś z rodziny Rojasa. Zaledwie trzy lata wcześniej jego trzech kuzyni zostali skazani na publiczne poniżenie, jakim był akt *rekoncyliacji**. Dlatego Fernando postanowił natychmiast pójść porozmawiać z rektorem Uniwersytetu, który darzył go sporym poważaniem, żeby poprosić o radę i wsparcie.

W wyniku tych zabiegów udało mu się zdobyć listy popierające firmowane przez fray Diega de Dezę, który był już wtedy preceptorem królewicza don Juana, przez samego rektora oraz przez kilku profesorów Wyższego Wydziału. Następnie, pomimo swojego młodego wieku, Fernando wniósł o wysłuchanie go jako świadka popierającego w procesie toczącym się przeciw jego ojcu, którego więziono w otoczonych tajemnicą kazamatach inkwizycji w Toledo. Młodzieniec dowiódł już z nawiązką w aulach uniwersyteckich swoich wielkich zdolności oratorskich, przemawiając wielokrotnie po hiszpańsku i po łacinie, trzeba jednak przyznać, że w dzień wystąpienia przed Świętym Trybunałem natchnienie szczególnie mu sprzyjało i jego mowa obrończa okazała się wyjątkowo przekonująca. Ciągłe jeszcze pamiętał, słowo po słowie, w jaki sposób bronił na sali sądowej honoru i prawości ojca. Prawdą jest, że jego przemówienie było śmiałe, a nawet ryzykowne, niemniej przyznać należy, że zaistniała sytuacja właśnie czegoś takiego wymagała, gdyż na ostatnim etapie śledztwa ojciec, nie będąc w stanie znieść

* Rekoncyliacja – ceremonia publicznego pojednania się grzesznika z Kościołem.

dłużej bezlitosnych tortur, przyznał się do wszystkiego, o co go oskarżano.

– Musicie wiedzieć – oświadczył uroczystym głosem przewodniczący Świętego Trybunału, zanim dopuścił Fernanda do głosu – że wasz ojciec przyznał się do winy. Czy jesteście w posiadaniu jakiegokolwiek istotnego faktu dowodzącego niepodważalności jego chrześcijańskiej wiary?

– Wasza wielbność – rozpoczął Fernando swój wywód – najzupełniej zasadnie prosi mnie o dowody, które mogłyby zaświadczyć o prawdziwości wiary mego ojca, na co z należną pokorą jestem zmuszony odpowiedzieć, iż najlepszym jej dowodem jestem ja sam.

– Chciałbym przedstawić tu kilka listów – dodał po chwili dramatycznego milczenia – jakie opowiedzą waszej wielbności znacznie rzetelniej niż mój własny język o niektórych zasługach i przymiotach, jakimi poszczycić się może moja skromna osoba. Jeżeli Wysoki Trybunał da wiarę, czemu głęboko ufam, opinii znakomitych osobistości, które listy te firmują, będzie musiał przyznać, iż u kogoś w tak młodym wieku i mającego tak mało doświadczenia jak ja wszystkie zasługi i przymioty, o jakich w listach tych jest mowa, mogą być jedynie wynikiem dobrego przykładu danego mi przez moich rodziców oraz nieskazitelnej czystości przekazanego mi przez nich duchowego dziedzictwa. Jeśli prawdą jest, jak niejedyn już raz wykazał Najwyższy Trybunał Świętego Oficjum, że grzechy i przewinienia rodziców mogą obarczyć winą ich potomstwo, równie słuszne powinno być założenie mówiące, iż cnoty dzieci, przynajmniej w niektórych przypadkach, mogą być zapisane na konto rodziców. Co za tym idzie, kiedy czyjś honor lub dobre imię jest podawane w wątpliwość, przymioty jego potomstwa mogą świadczyć na jego korzyść, będąc gwarancją szlachetności jego rodu i postępowania.

Siła przekonania słów wygłoszonych przez Fernanda okazała się tak ogromna, że członkowie Trybunału musieli deliberować przez czas znacznie dłuższy niż zazwyczaj, a na koniec poczuli się w obowiązku przyjąć salomonowe rozwiązanie. Oskarżony został oczywiście uznany za winnego i skazany na spalenie na stosie, ale, biorąc pod uwagę okoliczności łagodzące, wykonanie wyroku pozostało w zawieszeniu. Trzeba przy tym podkreślić, że nie był to zabieg często spotykany w orzeczeniach Świętego Oficjum.

– Tak więc to wy i nikt więcej – uprzedzono Fernanda zaraz po ogłoszeniu wyroku – jesteście teraz jedynym gwarantem życia i honoru waszego ojca. Tym samym od tej chwili i do końca życia ojca macie pozostać do naszej dyspozycji, tak żebyśmy mogli, kiedy tylko uznamy za stosowne, zażądać waszej ofiarnej pomocy na rzecz wiary katolickiej. Na razie możecie wrócić do Salamanki, żeby kontynuować tam wasze studia.

Tak też Fernando uczynił, szczęśliwy, że udało mu się uratować *in extremis* życie ojca, choć równocześnie pełen obaw z powodu zawarcia paktu, którego być może przyjdzie mu kiedyś żałować. Z drugiej strony wieści na temat wyniku procesu szybko dotarły na Uniwersytet, zaskarbiając młodzieńcowi sympatię całej uczelnianej społeczności, a w szczególności fray Diega de Dezy, który widział w nim przyszłego współpracownika.

– Masz szansę zejść daleko, synu – przepowiedział mu – jeżeli tylko nie zboczysz z wytyczonej drogi.

Wyglądało na to, że z czasem sprawa ojca poszła w zapomnienie. Rodzina Fernanda spokojnie mieszkała w La Puebla de Montalbán, gdzie jego rodzice definitywnie się przeprowadzili, uważając, iż ta niewielka miejscowość będzie nieco bardziej bezpieczna dla rodziny konwertytów niż wielkie miasto w rodzaju Toledo.

Po ukończeniu trzeciego roku studiów w Kolegium Mniejszych, Fernando de Rojas wstąpił do Kolegium Świętego Bartłomieja. Udało mu się to jedynie dzięki posiadanym rekomendacjom, gdyż nie tylko nie mógł się wykazać odpowiednim pochodzeniem – teoretycznie wymagał tego statut czystości krwi, który jednak nie był rygorystycznie przestrzegany – ale nie osiągnął też jeszcze przepisowego wieku. Kolegium, oprócz innych przywilejów, miało prawo nauczania w obrębie swoich murów oraz posiadania własnej, nawiasem mówiąc znakomitej, biblioteki, w zbiorach której znajdowało się wiele cennych manuskryptów. Przychylając się do rad swoich opiekunów, Fernando zdecydował się na studia prawnicze, jakie uznawano w owym czasie za najbardziej przydatne Koronie i jakie niewątpliwie zapewniały najpomyślniejszą przyszłość. Jednak młodzieniec był tak bezgranicznie ciekawy i żądny wiedzy, że na własne ryzyko i odpowiedzialność uczestniczył również w wykładach z teologii, medycyny, a zwłaszcza z astrologii, która obejmowała zarówno astronomię sfer niebieskich, jak i teorię planet, arytmetykę i geometrię, kosmografię, geografii oraz wróżbiarstwo astrologiczne. Fascynowało go również wszystko, co miało jakikolwiek związek z botaniką i farmaceutyką, a szczególnie z uzdrawiającą mocą ziół. Stąd też przestudiował dogłębnie dzieła Dioskurydesa mówiące o roślinach leczniczych i trujących oraz o możliwościach przeciwdziałania tym ostatnim (w bibliotece Świętego Bartłomieja znajdował się przepiękny ilustrowany manuskrypt tegoż autora, pisany oryginalną greką). Dla Fernanda, podobnie jak dla jego uwielbianego Arystotelesa, nie istniało nic wspanialszego niż nauka, dlatego też nie było dla niego lepszego miejsca pod słońcem niż Uniwersytet w Salamance, *alma mater*, matka karmicielka wszelkich nauk.

Jadąc przez most, Fernando pomyślał sobie, że nie przystoi mu dłużej przeciągać swej uprzywilejowanej sytuacji na Uniwersytecie. Jeszcze przed wyjazdem na te krótkie letnie wakacje do La Puebla de Montalbán biskup oświadczył mu, że dzięki swej inteligencji i wykształceniu może zabiegać o najwyższe stanowiska w nabierającym właśnie ostatecznych kształtów Królestwie Hiszpanii. Nalegał przy tym, by chłopak jak najprędzej skończył studia i uzyskał tytuł bakałarza nauk prawnych. Gdyby to od Fernanda zależało, pozostałby na zawsze na Uniwersytecie i poświęciłby się uprawianiu najróżniejszych dyscyplin nauki. Zdawał sobie jednak sprawę, że to niemożliwe – już wiele lat wcześniej zdecydowano za niego.

Znalazłszy się na drugim brzegu rzeki, Fernando zatrzymał się przy kamiennym posągu byka, stojącym przy zjeździe z mostu. Przypomniał sobie, co mu się przydarzyło na krótko po tym, jak po raz pierwszy zawitał w Salamance. Pewnego popołudnia pod koniec października spotkał się właśnie tutaj z grupką starszych od siebie studentów. Przywitali się, po czym jeden z żaków powiedział mu, żeby przyłożył ucho do posągu, to usłyszy dochodzące z jego wnętrza głośne szmery. Oczywiście Rojas w swojej naiwności zrobił, co mu polecono. Tymczasem student, kiedy tylko stwierdził, że głowa młodszego kolegi znajduje się wystarczająco blisko pomnika, walnął nią o kamienny posąg, aż huknęło, po czym jeszcze mu pogroził:

– Pamiętaj, głuptasie, że prawdziwy student Uniwersytetu w Salamance musi być sprytniejszy niż sam Diabeł.

Na te słowa wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem, oczywiście oprócz biednego Rojasa, który o mały włos nie stracił przytomności. Później dowiedział się, że był to typowy kawał, jaki studenci wyższych lat robili świeżo upieczonym żakom. Większość z nich znosiła te głupie żarty

obojętnie i z rezygnacją, on jednak poczuł, jakby ktoś ściągnął go nagle z obłoków na ziemię. Potraktował zajście jako nauczkę na przyszłość: od tej chwili będzie miał oczy i uszy szeroko otwarte. Teraz, chociaż od owego wydarzenia upłynęło już dobrych parę lat, zdał sobie sprawę, że musi się jeszcze wiele nauczyć.

Mimo iż lato dobiegło końca, o tej porze dnia wciąż jeszcze było gorąco. Pod topolami rosnącymi nad rzeką Fernando dojrzał grupkę studentów, którzy rozsiedli się na trawie wokół starszego człowieka, czytającego coś na głos z trzymanych w ręce kartek. Gestykulował przy tym żywo, modulując głos w zależności od przebiegu akcji i nastroju bohaterów utworu. Od czasu do czasu któryś ze studentów przerywał lekturę jakimś żartobliwym komentarzem, podczas gdy inni głośno protestowali albo rzucali w niego czapkami, żeby przestał przeszkadzać. W takich chwilach czytający spoglądał na chłopców z udanym niezadowoleniem, gdyż zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę wszyscy są zachwyceni lekturą i tylko starają się nie dać tego po sobie poznać. Sam Rojas bardzo chętnie zszedłby nad rzekę, żeby rozerwać się trochę w towarzystwie kolegów, dać się porwać akcji czytanego utworu i porozkoszować wiejącą z nad wody bryzą oraz nieustającym szmerem rzeki i liści na drzewach, jednak spieszyło mu się: chciał się jak najprędzej dowiedzieć, co nowego zaszło w mieście. Po drodze słyszał od mulników jadących w przeciwną stronę kilka plotek, które trochę go zaniepokoiły. Tak więc popuścił cugli mułowi, na którym podróżował, i zaczął się zagłębiać w uliczki Salamanki.